



## PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

### Prenumerata w Warszawie:

We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie: rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

### Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5; rocznie rsr. 10

Wydawca MICHAŁ GLÜCKSBERG.

EXPEDYCYJA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Królewska Nr 5.

W Cesarstwie Austryackim we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80  
W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartal. flor. 2 cent. 75; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebera i Spół., kwartal. tal. pr. 1 sgr. 20.

## KOBIETA W ANGLII.

Jedna z wybitniejszych powieściopisarek angielskich, Mrs. Linn Linton, studując życie ze względu na powieści swoje, do których wzory pragnęła brać z natury, zaczęła spostrzegać, że postacie kobiece dziwnie jej się mieniają przed oczyma, dziwnie odskakują od urobionego wiekami typu kobiety angielskiej, że wreszcie życie, jakie widzi wkoło siebie, dostarcza jej coraz to mniej obrazów dodatnich, szlacheckich, a przeciwnie idąc za niem, musiałaby pióro swoje zniżyć i dać mu kierunek przykry dla niej. Więc naraz odsunęła pracę powieściową na stronę i uważniej, głębiej patrząc w koło siebie, napisała książkę, której ukazanie się wywołało pewnego rodzaju hałas, a uwagi dzienników dały jej rozgłos taki, że królowa zapragnęła ją czytać.

Przeczytała, i stała się smutną — ze smutkiem też mówiła o niej do deputacji kobiet, które przyszły właśnie ją prosić o poparcie w przeprowadzeniu pewnych zmian co do angielskich praw opieki nad małoletnimi. Istnieje w Anglii, znane czytelnikom pisma naszego: *Stowarzyszenie opieki nad młodemi dziewczętami: Association for befriending young girls*. Towarzystwo to dzieli się na kilka gałęzi; jedna z nich, istniejąca w Londynie a zajmująca się wyłącznie młodemi sługami. „Association vor befriending young servants” zapragnęła wspomnianych zmian, i panie składające

deputacją: Mrs. Bunting, Mrs. Capel i Miss Lidgetti udały się do królowej o pomoc, a ta przyjąwszy je wdzięcznie i rozmawiając z nimi przyjaźnie, oświadczając, że najwyższą jej dumą było zawsze, aby panowanie jej zwało się w historii Anglii panowaniem ucziwej kobiety, dodała niemal ze łzami w oczach, że książka Mrs. Linn Linton jest rzeczą bolesną dla jej serca i razem ambicyi.

Te słowa królowej nadały książce znaczenie wyższe jeszcze. Po rozbiorach dzienników przyszła kolej na innego rodzaju rozgłos i pisze się, a może już napisaną została dla sceny Londyńskiej, komedia, oparta na treści pierwszego, ztąd tytuł książki dającego szkicu: „The Girl of the Period: *Dziewczyna naszych czasów*. Czy przeciw autorka angielska nie jest pessimistką, czy nie zanadto uogólnia złe, dostrzegane? Tak-by przypuścić trzeba; niemniej zajęcie, jakie książka jej wzbudziła, przemawia za trafnością jej spostrzeżeń, a w każdym razie dowodzi, że choćby sąd był za surowy, musi on charakteryzować dla społeczeństwa angielskiego chwilę bieżącą w tem przynajmniej znaczeniu, że rysy ujemne o które tu chodzi, uwydatniają się więcej niż kiedy, że złe jest śmielszem i jawniej, bezkarniej występującem.

Zawsze, wszędzie i w każdym czasie, tak kobiety jak mężczyźni — ludzkość wogóle, dzieliła się na istoty wyższe i niższe, szlachetne i poziome, tylko bywają epoki, w której instynkta nędzne górę biorą, bo moralna karność społeczeństwa osłabioną została i nie wywiera nad nimi tego rządu silnej władzy, która pod nazwą opinii działając, ster moralności publicznej mocno trzyma. Że tak jest nietylko w Anglii — wiemy, i dlatego też uważać można książkę Mrs. Linn Linton za pewien przyczynek do charakterystyki chwili bieżącej, a że zachodzi pewne podobieństwo między naszą a angielską kobie-

tą, przynajmniej pod względem rodzinnych uczuć i pracy w rodzinie, potęguje się dla nas interes książki, której autorka kreśli na wstępie taki obraz jakoby dawnego dziewczęcia angielskiego, który my śmiało, jako nasz własny, przyjąłbyśmy mogli: „Dawniej — pisze autorka — wyrazy: *angielskie dziewczę*, znaczyło coś, jak ideał kobiecości, jak skromność, prostotę i niewinność. Swobodniejsza od Francuzki, była poważniejszą od niej; zdolna do uczuć głębokich, nie miała jednak namiętnych uniesień Włoszki; tak odważna jak Amerykanka, posiadała przeciw wyższą delikatność uczucia, a obok domowych cnót Niemki miała więcej niż ona wdzięku i podniosłości naturalnej. Nie trzeba było pilnować jej zbyt ściśle dla wrodzonej godności i czystości jej natury, z czem przeciw nie łączyła się zuchwałosc w obejściu, ani mężkosc w sposobie myślenia. Wyszędłszy zamąż *angielska dziewczyna* stawała się towarzyszką i przyjaciółką swego męża, a nigdy rywalką, o prawa swoje z nim walczącą. Mąż tych praw nie naruszał, bo tak ona, jak on, czuli, że ich interesa są wspólne, a dom rządony przez nią, stawał się dla mężczyzny prawdziwym ogniskiem domowym, gdzie się ogrzewał i odpoczywał po trudach życia na zewnątrz. Nie było to miejsce wystawy, gdzieby próżność i zbytek, z chęci używania wynikły, łączyłyby się ze sobą. Niel zamieszkiwała go i rządziła nim tkliwa matka, rządną gospodynii, sprawiedliwie dobra pani“.

Anglia, angielski mężczyzna był też z kobiet swego narodu dumny; dziś, niestety, bywa inaczej i nigdy nie pisano w Anglii tyle pamfletów przeciw kobiecie, ile dziś. — Kobieta odpowiada, że nie dba o to; czy przecie tak być może? Wprawdzie obecnie życiem młodej panny jest głównie zabawa, ideałem zbytek, a jej myśl, jej całą inteligencją absorbują stroje. Nie ma dla niej nic zbyt oryginalnego, lubi być widoczną i nie ginąć w tłumie, rządzi się własną chęcią i nie wiele zważa na



rodziców, a ze zmianą jej estetycznego smaku, zmieniły się i jej gusta moralne. Majątek, dostatek: to najwyższe jej dobro, śmiała jest nad miarę, nie ma już nic dawnej lekliwej niepewności siebie; nie ma, co gorsza, dawnej wstydlivosti w wyborze wyrażen—lubi dowcip nieco pieprzny, rozmawia o wszystkim ze wszystkimi, a dawna jej wada, szczególnie przez Francuzkę jej zarzucana: romansowa idealność, poświęcanie mienia i stanowiska dla miłości, życie „w chatce byle z nim”—są to dla niej mrzonki, które nigdy nie śniła. Rozsądna jest, praktyczną jest, i pod względem rozmarzenia matka nie ma się co lękać o córkę: córka jest pozytywnie roztropną i rozważniejszą od niej. Przecież, mimo tak rozumnego nastroju umysłu, wcale jej nie interesuje poważna strona jej obowiązków żony i matki, i ten, który ją za współniczkę życia wybiera, niech się nie ludzi, aby według dawnej formuły miała to być: „tacens et placens uxor”. Ona idzie za męża dlatego, aby mieć tytuł i przywileje mężatki, aby wydawać na swoje przyjemności pieniądze, które on zapracuje. Odczegół jest mąż?—prawi śmiało każdemu.

Ale też panna dzisiejszych czasów niełatwo i nieprędko idzie za mąż. Mężczyzna boi jej się i ma w tem słusność. Bawi się z nią, ale nie kocha się w niej, choć mimo pozorów lekceważenia mężczyzn, dzisiejsza panna jest wyrafinowaną kokietką. Umie pociągać właśnie przez pozory niedbałości, czasem lekceważenia i aż impertynencji; ale większość mężczyzn rozumie to doskonale. Jeżeli tylu mężczyzn żeni się dziś dla pieniędzy, to z tej przyczyny, że mało który wierzy w uczuciowość i tkliwość kobiecego serca. Kto przecież uważa dobrze, dobrze obserwuje, ten spostrzeże, że choć owe rezolutne, śmiałe, dowciple panny zdają się mieć więcej szczęścia od innych, to jest od skromniejszych, cichszych, prostszych; jednak tych więcej za mąż idzie i idzie lepiej—za rozumniejszych, poważniejszych, głębiej w życie i serca ludzkie patrzących mężczyzn, i są następnie szczęśliwsi od tamtych, którym zdawało się przecież u życia poranku, że świat przełobem zdobędą.

— A więc to nie wszystkie jeszcze są takie? może czytelnik słusznie zapytać autorki, która niedość jasnym tytułem opatrzyła swą książkę. Zamiast „Dziewczyna naszych czasów”, powinno być stać: „Nowoczesna odmiana młodej panny” a raczej: „nowoczesna odmiana kobiety” ponieważ książka nie ogranicza się jedynie na malowaniu pierwszych lat młodości kobiecej. Lata dziewczęce to jakgdyby wstęp do życia, jakkolwiek to już życia tego podstawa moralna i zapowiedź przyszłości. Że tak bywa prawie zawsze, że prawie zawsze śmiała, wyzywająca, przedwcześnie młodą delikatność uczucia, młodą skromność tracąca panna będzie odpowiednio w dalszym ciągu życia rozwiniętą kobietą—dla tego mężczyźni się z takimi żenić nie chcą, szukając sobie na wiernej pomoc i osłodę życia tkliszej, łagodniejszej, doskonalszej kobiecej natury. I słuszną też jest konkluzja autorki, że mimo pozornego powodzenia w świecie panien takich, nie pociągają one serc mężkich, którzy, otaczając je, zwodzą tylko z nimi pewnego rodzaju utarczki fechtunkowe; turniej to jest mężczyzny z kobietą, turniej przecież w zbroi dobrze zahartowanej i z przyłbicą spuszczoną.

Ani się dają kochać, ani spełniają one tę, od wieków powierzoną kobiecie misję: nie podnoszą, nie ulepszają serca męskiego, nie uszlachetniają go przez miłość tklivą i gorącą, która jest dla stron obu rozkwitem serca, rozkwitem istoty ludzkiej. Mężczyzna za ten wielki brak życia swego, za ten wielki niedobór szczęścia, mści się potem na kobiecie—czyni sobie z niej zabawkę; sam się psując przez to, ją psuje, a potem odchodząc od niej lekceważąco, samotną zostawia, sam na samotność się skazując. I nie może być inaczej w położeniu takim. Miłość musi być w tem znaczeniu ślepą, aby przez pryzmat wiary na przedmiot ukochania swego patrząc, widziała go w tęczowych blaskach idealnego uroku: zniszczyć go, ten urok, rozpędzić, zetrzy pył świetlany z motyli skrzydeł tej Psyche, a miłość prysnie, tylko niesmak, uczucie zawodu zostawiając po sobie.

Mężczyzna, który taką próbę ognia w młodości swej przebedzie, jest potem, jeżeli nie mizantrop smutny, to cynik, biczem satyry kobietę chłuszczący—to wreszcie stary kawaler, któremu z konieczności odpowiada gdzieś stara panna.

Nie trudności ekonomiczne naszego czasu, ale trudności życia rodzinnego wespół z kobietą, która kochać nie umie, a poświęcać się nie chce i używać tylko pragnie—to przyczyny coraz zwiększającego się celibatu. Kobieta to sprawdza—kobieta, która mężczyźnie ufność w kobiecą odbiera i ognia miłości wzniesić w nim nie umi—jąc, zimnym go pozostawia.

Wprawdzie bywa nieraz i to, że zuchwała, ostrym pigmentem dowcipnej przekory zaprawiająca kokieteryą swoją, budzi w mężczyźnie namiętność; lecz jeżeli węzeł małżeński na takich warunkach zawartym zostanie—biada obojgu! „W pół roku po ślubie, nienawidzi się para taka” pisze Mrs Linn Linton.

Opuszczamy ostrą prawdę mieszczańską ustęp, w którym Angielka wykazuje od kogo-to w takim razie młoda panna bierze sobie wzór zwyciężenia, pochycenia w moc swoją mężczyzny.

(Dalszy ciąg nastąpi).

## KTÓŚ

### POWIEŚĆ WSPÓŁCZESNA

przez

J. I. Kraszewskiego.

(Dalszy ciąg).

Wtrąciła Michalina.

— Kiedy-bo to są nie rzeczy, ale nedoręczności!—rozśmiał się Sylwan — i poruszył ramionami.

Dochodzę do tego, iż mi gotowi przypisywać zuchwalstwo — które kazałoby zwątpić o moim zdrowym rozsądku.

P. Michalina musiała się domyślać znaczenia tych wyrazów i urwała rozmowę.

— Zrobiłbyś pan mamie i mnie wielką przyjemność—rzekła po przestanku—gdybyś przyjął zaproszenie moje.

Jest w nim wiele egoizmu—miałabym kogoś, coby mój koloryt nieszczęśliwy osądził bezstronnie—miła wieczorem rozmowę i dla kochanej mamy, która się często ze mną nudzi, najmilszego z gości.

— Co się tyczy kolorytu—umyślnie skracając na to rozmowę—rzekł Horpiński—zdaje mi się, że pamięć na jedno prawidło wszystkie rady i spostrzeżenia zastąpi. Mówiliśmy o tem nieraz; koloryt jest zawsze stosunkiem, nie ma w nim nic absolutnego—barwy stają się jaskrawymi przez sąsiedztwo, które je podnosi, lub tłumione, gdy się przy nich położy inne.

— A! zieloność i lazury... pomimo znajomości prawideł tak są do ożenienia trudne—wesoło podchwyciła Misia.

Śmiał się Horpiński.

— Ja mam w tem mniej jeszcze wprawy i doświadczenia, niż pani—zakończył.

— Polowanie u nas—pośpieszyła dołożyć pan-na—ma być nadzwyczaj dla myśliwych ponętne.

Pruszczyć ochrania zwierzyńnię, jest jej moc wielka... Mamy psy... strzelców,—wszystko.

— Ale ja namiętnym myśliwcem nie jestem—rzekł Horpiński—poluję, bom próżniak.

— Słowem, że do nas pana w żaden sposób skusić i pociągnąć nie można — dodała z lekkim westchnieniem panna Michalina.—Wiem, że nie udałoby mi się nawet oporu jego zwyciężyć zapewnieniem, że milszego towarzystwa, nad jego—nie znam.

Skłonił się Horpiński, ale twarz jego posmutniała.

W tej chwili powolnym krokiem przesuwała się przez pokój pani Zawierska, a córka wstała żywo, pochwyciła ją pod rękę i, sparłszy główkę na jej ramieniu, przyprowadziła do Sylwana.

— Niechże mama poprze moją nadaremna prośbę—rzekła.—Zapraszam do nas na wieś p. Horpińskiego i — najniegrzeczniej w świecie, droży się i opiera.

Matka zdawała się zmieszana.

— O! nie powinienes nam tego odmawiać odezwiała się głosem jakimś drżącym. — Bardzo-by nam było miło.

Nie należała jednak zbytecznie; Sylwan uczuć to musiał.

Panna Michalina nie rozumiała chłodu matki, bo nie wiedziała, że wczoraj właśnie usłużne usteczka doniosły Zawierskiej, iż — po mieście zeniono już Michalinę z Horpińskim. On czuł, że dłużej tu nie powinien być pozostać i szybko zgnać się zaczął. Panna Michalina odprowadziła go do drzwi z naleganiem i powróciła do matki, która stała w temsamem miejscu nieporuszona.

— Mamo?... co tobie?—zawołała.

— Nic, dziecko moje — wahając się, poczęła matka, oglądając się po przechodzących sługach—Chodź ze mną do gabinetu.

I wyraz twarzy i ton mowy zapowiadały, że to—nic—było jednak czemś dosyć ważnem.

Zawierska padła na kanapkę i podparła głowę na rękę smutna.

— Misieczku moja droga—odezwiała się — jesteś trzpiotkiem nieostrożnym. Po co było Horpińskiego na wieś zapraszać?

— Bo chciałabym go tam widzieć — poprostu odparła Misia.

— Ale, dziecko moje—wtrąciła matka niespokojnie—czy wiesz, że... że już plotą ludzie—nie-wiedzieć co — i żenią ciebie z nim?

Michalina się roześmiała.

— Nie rozumiem, co-by w tem dla mnie uwłaczającego być miało — rzekła. To pewna, że o mnie ani myśli, ale gdyby myśl tę powziął, nie widzę w niej nic tak—poczwarne!

Matka zacisnęła usta.

— Dziecko moje!—szepnęła.

Rumieniec oblał twarz Michaliny.

— Z mamą powinnam być szerszą — rzekła.—Nie kocham się w nim — ale, że bardzo go kocham, lubię, szacuję, że mi jest sympatycznym i że—wyszłabym za niego, gdyby mnie chciał—to nie ulega wątpliwości.

Zawierska zbladła i ręce się jej załamały.

— Misieczku!—zawołała—zabijasz mnie.

Michalina przypadła do matki, objęła ją za szyję i całować zaczęła.

— Matuniu kochana—szepnęła—nie trwóż—że się, proszę... Mówię ci, co myślę i czuję, ale wiem, że to jest niepodobieństwem.

Do tego człowieka wszystko mnie pociąga—jego wyższość umysłowa, powaga, takt—rozum— a więcej niż to—jego smutek, coś tajemniczego, co go okrywa... jakaś nieuleczona tęsknica, którą nosi w sobie.

Uczuciu temu nie mogłam się obronić — nie taje się z niem.

Widząc, że matka nerwowego jakiegoś drze-



pia dostała, Misia przestała mówić, a zaczęła ją pieścić.

— Jeżeli już tak daleko rzeczy zaszły—poczęła Zawierska—uściskawszy córkę—wszystko ci powiem—muszę. Nitosiłowski—zawierzył się tu niektórym osobom z domysłu—jak się zdaje—bardzo uzasadnionego—iż ten Horpiński jest... jest...

Tu otarła chustką twarz matka i szepnęła ogładając się.

— Ojciec Nitosiłowskiego miał jakiś romans z prostą ukraińską dziewczyną. Mówią, że się z nią ożenił, ale małżeństwo to zostało rozerwane i unieważnione. Horpiński ma być synem tej chłopki. Dla tego jest tak okrutnie do Waclawa i brata jego podobnym.

Słuchając tego zwierzenia się matki, Michalina stała wyprostowana, blada, z oczyma zaiskrzonymi, cisnąć ręką piersi—poruszona tak, że Zawierska się ulekkła.

Przerwała nagle:

— Niech mama mówi—proszę—odezwała się Misia—słucham. Naturalnie, obchodzi mnie los tego człowieka, ale rada, że wiem o tem.

— Pojmujesz więc—dodała Zawierska, że gdy o nim takie wieści chodzą...

— Które pan Waclaw rozpuscita—wtrąciła pogardliwie Misia.—Mama to znajduje z jego strony szlachetnem?

— Zmiłuj się!—przerwała Zawierska.—Prawda ta, czy bajka, jest nadzwyczaj niemiłą.

— Cóż w tem ten biedny p. Sylwan zawinił?—rzekła Michalina—ja nie widzę! Przypuszczam, że tak jest w istocie, jak p. Nitosiłowski mówi.—Obudza to większe jeszcze współczucie dla nieszczęśliwej ofiary—ale jej nie ujmuje bynajmniej.

Wolałabym nie wierzyć w tę plotkę—a jednak ze smutku Horpińskiego, z jego życia, ze wszystkiego można wnosić, iż coś jest w tem prawdy... Najsmutniejszym ze wszystkiego, iż to jest tajemnicą.

Jest synem chłopki?... czyż w oczach mamy mniej wart przez to?

— A! zlituj się—żywo przerwała Zawierska—niech się to sobie zowie przesądem, czy czem chcesz—ale takie pochodzenie—niepewność wreszcie czy małżeństwo było zawarte—czynią Horpińskiego w towarzystwie niemożliwym. Żadna rodzina go przyjmując nie może.

Misia westchnęła i uśmiechnęła się gorzko.

— Biedna więc ofiara za błąd ojca będzie musiała przez całe pokutować życie!...

— Nitosiłowski mógł go wprost przyznać—przerwała Zawierska.—Powiadają, że rodzina go ubłagała i odwiodła od tego. Tosamo już małżeństwo czyni wątpliwem.

Lzy popłynęły z oczów Zawierskiej.

— Wiesz jak ja go lubię, jak go cenię, zresztą to jedno, że tobie się podobał i jest miłym, starczy, abym go kochała—ale zważ sama!... zważ sama...

A! nie myślny i nie mówmy o tem!—dokończyła, oczy zakrywając, Zawierska.

Wyciągnęła potem ręce do córki—i w niemym uścisku ją przyciągnęła ku sobie.

Misia nie mówiła długo nic.

— Niech się mama uspokoi—poczęła w końcu. Nie ma w tem wszystkim nic groźnego. Horpiński nigdy ani pomyślał o mnie. Ja zaś—jeżeli się do niego przywiążę—to cóż! Nie pójdę wcale za mąż i będziemy tylko parą dobrych przyjaciół. Bo, że pochodzenie jego nie odejmię mu u mnie ani odrobinki tego uczucia, jakie mam dla niego—to—mamciu!... niestety—rzecz pewna!

— Uczucia!... powtórzyła Zawierska rozpaczliwie.

— Mamciu! ani słowa więcej! Wierz mi, że niedorzeczności nie popełnię, a on prędzej uciecze od nas, niż się zbliży. — Nie mamy się czem trwożyć—niech sobie życie dalej tak płynie, jak płynęło... i...

Położyła palec na ustach...

— Nikomu o tem ani słóweczka!

Wstały obie i smutne poszły do babci, która tego dnia ciągle je przy sobie mieć chciała.

Panna Michalina starała się być taką, jak dni powszednich, i nie zdradzać się z tem, co nosiła w duszy. Zawierska na wyjazd i rozstanie ze staruszką składała widoczny swój smutek.

Nazajutrz powozy i bryki wyruszyły ku Pradze, a oczy Michaliny napróżno gdzieś po drodze szukały Sylwana, którego zobaczyć pragnęły. Horpiński również się wybierał w drogę, chociaż tymrazem nie do Rusinowego Dworu. Chciał, pożegnawszy tylko matkę—odświeżyć się i rozzerwać podróżą zagranicę.

Rozmowa z Michaliną ostatnia do zbytku go rozmarzyła: potrzebował roztargnienia, wrażeń, aby zbyt się nie upajać złudzeniami, nie dać się opanować nadziejom.

W Rusinowym Dworze, do którego naprzód podążył, zastał wszystko jakby odmłodzone wpływem pani, która tu teraz królowała. Tatiana i Horpyna, coby miały nad dzieckiem panować, dały mu się zupełnie ująć i—słuchały go. Dziewczę robiło, co chciało, i płaciło za powolność uściskami i pieścizotami, których stara, znękana kobieta żadną była. Pod wpływem wychowanki humor i sposób życia starej się odmienił. Pynia nie dawała jej płakać i zawodzić; kazała się z sobą śmiać, prowadziła ją do ogródka, nawet w pole i do lasów.

Stara w początku nie dawała się jej wyciągać; powoli jednak, naprzód na podwórze, potem za wrota i coraz dalej za sobą wywlekała ją sierotka. Na twarzy zmieniała się, skutkiem tego uspokojenia wewnętrznego Horpyna; rysy się wypełniły, trochę świeżości wróciło na lice, czasem nawet uśmiech ją na chwilę rozpromienił. Smutek pozostał na dnie,—lecz nie tak często wpływał przez usta i oczy.

Gdy Sylwan z radością postrzegł tę zmianę w matce, ona z trwogą znalazła syna postarzałym i przybitym, zbiedzonym jakimś i nadzwyczaj milczącym. Serce matki domyślało się, że to bez przyczyny być nie mogło;—starała się jej dopytać, lecz Sylwan zbył ją kilku obojętnymi słowami.

Nazajutrz, gdy siadł na ławie, naprzeciwko okna, przedczesne włosy siwe, które już dawniej widziała, uderzyły Horpynę,—zdawało się jej, że ich przybyło.

— A!—zawołała ręce łamiąc strwożona, ty się zamęczasz dla mnie! Co twoje za życie? Połowa duszy tu, połowa tam, a szczęścia dla ciebie nigdzie. Nawet dla matki tyś na pół obcy, a dla tych ludzi, z którymi przestajesz, gorzej jeszcze.

Zaczęła lamentować podawnemu.

— Po co mi Pan Bóg dał życie? Chyba, abym za grzechy pokutowała na tym świecie. Wszędzie, gdzie stąpię, niedolę z sobą przynoszę.

Gdybym umarła—byłbyś wolnym!

Nie dał jej mówić Sylwan, ale się rozplakała rzewnie. Dusza się otworzyła, nie mogła już w sobie wstrzymać nawet tajemnicy tyczącej się sprowadzenia Horpyny: zdradziła się z nią i oskarżyła.

Wistocie, ona teraz dla siebie potrzebowała dziewczęcia i przekonywała się, widząc syna przy niej, że owo osnute małżeństwo było niemożliwem.

— Darmo chciać naturę przerobić,—odezwała się—i skórę ściągać z człowieka. Z jaką się kto urodził, w takiej umrze. Snuło mi się po głowie, zrobić z ciebie ukraińskiego chłopca,—ale ojciec chciał inaczej, a ty masz jego twarz, jego krew i naturę.

Tam ciebie do ojcowskiego rodu ciągnie wszystko, tam musisz iść! tam pójdziesz, byłem ja ci na przeszkodzie nie stała.

I znowu narzekać zaczęła na życie swoje, a śmierć wywoływać, aż Tatiana, podsłuchująca u drzwi, Pynia i syn usta jej gwałtem zamknęli, ale się rozplakała, rozboleła i utulić jej nie było można.

Dopiero w godzinę potem, gdy Sylwan przyniósł podarki, które dla Pyni z Warszawy wiozł, gdy je rozłożył na stole, dziewczę się z radości poczęło śmiać, w ręce klaskać, starą całować,

Sylwanowi do kolan się klaniać, a gdy Tatiana przyszła podziwiać paciorki, chustki, wstążki do włosów, koleżki i grzebyki—trochę wesela wróciło pod strzechę.

Pynia się tem wszystkim nacieszyć nie mogła, jak dziecię, i wieśniaczka chwytła, przymierzała, przyglądała się sobie w zwierciadelku—oczy jej pałały, usta się nie zamykały.

Tatiana prorokowała, że tej nocy spać nie będzie; dziewczę żądało tylko, aby jej to wszystko włożyć pozwolono pod poduszkę.

Ta radość kupiona tak tanio—i Sylwana chwilowo odżywiła, a matka za wychowanicę, do której się tak przywiązała, niezmiernie mu była wdzięczną.

Nazajutrz wrócił smutek na twarz starej, widok syna dawne myśli wznowił. Myślała o jego przyszłości. Siwe włosy ją przerażały.

— Takie życie, jakie ty teraz prowadzisz—poczęła—nie zdało się na nic, a ja jestem temu winną. Lepiej niech się ja męczę, niżbyś ty tak marnie miał przepadać.

Po co tobie się odrywać do starej baby, do Rusinowego Dworu? na dwóch stołkach siedząc, nigdy nie będziesz szczęśliwym. Mieszkać tam, a żeń się, żeń.

— Nie myślę o tem wcale—rzekł Sylwan—kobieta, którejbym ja zażądał—pewnieby mnie nie przyjęła, a taka, coby mnie chciała—trudno, aby mi się podobała! Jestem już za stary!

Sprzeczała się tak chwilę; matka obstawała przy swoim, nieustępując. Horpiński zmilczał.

(Dalszy ciąg nastąpi).

## NOWINY PARYZKIE

Paryż w Maju i Czerwcu 1884 r.

Jest temu lat siedemnaście! Wspomnienia z pierwszej wystawy powszechnej w Paryżu.—Pierwszy obraz Matejki.—Wystawa Sztuk Pięknych tegoroczna, ujemne jej strony.—Smutny stan sztuki we Francji.—Nasi artyści na tej wystawie; „Hołd pruski“.—Brand i jego „Trudna przeprawa“.—Chelmoński.—Snycerstwo i Cyprian Godebski.—Sieroty polskie, projekt narobka.—Popiersia: Kraszewski z ostatnich chwil w Paryżu.—Unikat rzeźbiarski i Armand Sylvestre, poeta francuzki.—Wystawa Munkaczego.—Przedsiębiorstwo i sztuka.—Mieszanina.—Dwa wielkie obrazy: „Chrystus przed Piłatem“ i „Chrystus ukrzyżowany“.—Wystawa Meissonnier'a.—Splendory sztuki.—Wrażenia i pamiętki.

Otwieram moją kronikę, i przypadkiem znajduję następującą wzmiankę:

„Rok 1867 — rok pamiętny; zenit politycznego znaczenia i wpływu Cesarstwa Francuzkiego; pierwsza wielka międzynarodowa Wystawa w Paryżu“.

Ktokolwiek w owym roku był w Paryżu, i kto sobie przypomni, jaką-to wówczas miał fizioognomię ów, tylko-co odmłodzony, uhausmannizowany, jak mówili Francuzi — Paryż; co za wypadki i przypadki brukowe i pałacowe zaszły tu w owym czasie; jakie osobistości, już dziś wygasłe albo gasnące, występowały na scenie tutejszego świata — ten, jakby ze snu zbudzony, nieprędko potrafi uporządkować myśli i przekonać się, że to jest rzeczywistość i prawda, a nie senne złudzenie, które mu staje przed oczami duszy. Rok ten, był to jakby jeden z tych dni świątecznych, które obchodzi świat cały — jakby święto powszechnego miru, zapomnienia, radości!

Pamiętam, jak dzisiaj, szedłem poraz pierwszy zwiedzić tę wielką i sławną wystawę. W chwili, kiedym już miał wejść do wspaniałego przedsiwionka, szybko zajeżdżająca karetka zatrzymała moją uwagę i poznałem wysiadającego Rouher'a. I on był wówczas na samym szczycie znaczenia i honorów. Pierwszy minister i viceimperator, jak go przezywała opinia.

Dawniej, dziesięć lat temu, znaleźmy się dobrane, a choć już w 1857 roku był on ministrem prac publicznych—przecież stosunek był dobry, bo Rouher, jak zwykle rozumny człowiek, był



wielkiej prostoty w obejściu, przystępny i łatwy. Ale dziś — to jest w 1867 roku, niewiedziałem go od lat kilku: *honores mutant mores*, pomyślałem w duchu i skromnie usunąłem się na stronę. Ale on, spostrzegłszy mój manewr, szedł prosto ku mnie, i biorąc mię bez ceremonii pod rękę, poprowadził wewnątrz wystawy.

— Dobrze, żem spotkał waćpana — powiedział — mam tu zobaczenia rzecz pewną, o której dasz mi, spodziewam się, pewne objaśnienia i szczegóły... Wszakże ci nie przeszkadzam? — dodał uprzejmie. Wpan też idziesz na wystawę?

— Tak, panie ministrze...

— A więc zemną, zobaczysz waćpan wygodniej, bo ja tu przecie jestem *quasi* gospodarzem.

Zostawiam resztę na stronie, a idę zaraz do celu, który zajmował w owej chwili ministra, a który mi się tak żywo przypominał z powodu także Wystawy... ale dzisiejszej, tegorocznej — Sztuk Pięknych.

Przebiegliśmy dość szybko rozmaite sale i wkroczyliśmy nakoniec do Wydziału sztuk pięknych i do wystawy Państwa Austriackiego. Naraz mój przewodnik się zatrzymał. Przed nami był duży obraz, o barwach, może trochę jaskrawych, tak mi się przynajmniej zdawało wówczas, ale uderzający, właśnie i tym kolorytem i układem, i tem wszystkiem, co, nieokreślone, niełatwe do wydania słowem, czyni przeciw głębokie i silne wrażenie na każdym, i powiada, że się jest wobec kogoś — który nakazuje uwagę i daje poznać swoje lwie pazury.

W jednej chwili zapomniałem o ministrze, o mojej doli; zapomniałem, jak to powiadają, języka w gębie. Na tym obrazie było mnóstwo osób — niby skupczyna. Ale to wszystko byli znajomi mi ludzie. Byli to nasi panowie szlachta: sejm więc.

Grenadyerowie stojący we drzwiach — karmazyn rozchrystany, leżący na ziemi — zawierucha, na ławach i w izbie. *Patres conscripti* — w płasach... A tam dalej w głębi, mdła i błada, a tak wierna postać Stanisława.

Zrozumiałem, co to jest.

I zaszumiało mi w uszach.

— Teraz widzę, że mi niedarmo podają artystę do nagrody krzyża. — Zasługuje, zasługuje, niezawodnie, pomrukiwał, jakby odpowiadał komus trzeciemu.

Obraz — była to tragiczna scena z pierwszego aktu „Straszliwej trylogii“, dobrze nam znanej: Szlachcic zwalony o ziemię, to Reytan, poseł nowogrodzki, a mistrz, który go malował, to Jan Matejko! Było to jedno z pierwszych dzieł młodego wówczas artysty — i dzieło to, pozostało niezrównanem we wszystkich swych częściach! A wskróś tego obrazu przechodzi tak potężne natchnienie, że ludzie obcy, jak p. Rouher, jak tylu innych, nierozumiejąc nawet, czuli to głębokie wzruszenie, którego się nie zdobywa u mas, tylko na tej jednej drodze — na drdzącej natchnieniem! Jakby zakłętą duszą, zostaje ono i pozostanie na wieki w tem płótnie. Mistrz może stworzyć więcej — ale nigdy lepiej.

Otóż to wspomnienie prowadzi nas wprost na wystawę doroczną Paryżką Sztuk Pięknych, wystawę dziś jeszcze otwartą, i do obrazu, o którym tyle już mówiono i pisano — do obrazu „Hołdu Pruskiego“.

Od pewnego już czasu, mówią prawie wszyscy, że stanowisko sztuki we Francji straciło ten wysoki stopień, na który go podniosły usiłowania i zdolności wielkich artystów po roku 1830. Wasz kronikarz powtarzał to nieraz z głębokim przekonaniem — że w sztuce nie dosyć posiadać biegłość mechaniczną, wielką wprawę i znajomość techniczną sposobów: trzeba czegoś więcej! Trzeba tego właśnie, cośmy znaleźli i podziwiali w pierwszym obrazie naszego krakowskiego mistrza — potrzeba natchnienia! Potrzeba tej iskry, która zapala i oświeca dzieło rąk ludzkich i podnosi je do tej wyżyny, na której człowiek daje świadectwo, że duch jego jest zawsze w związku ze swoim nieśmiertelnym źródłem.

Na nieszczenię we Francji materyalizm i jego niskie tendencje coraz się rozszerzają bardziej — i ta moralna zaraza dotyka najlepsze i najzdolniejsze umysły. A że sztuka jest właśnie najwyraźniejszym odbiciem, dotykającym uosobie-

niem moralnych pobudek i tendencji społeczności: na niej więc, na jej utworach i ten chorobliwy stan umysłów we Francji położył najoczywistsze swe piętno. Ale chociaż ta zaraza jest ogólną i powszechną, chociaż dotknęła ona wszystkie prawie jednostki, nie mogła dotąd przeciw wyrugować zupełnie tego przekonania, tej moralnej normy, którą wieki złożyły w sumieniu publicznym, że niedość schlebiać i zadość czynić zmysłowemu popędowi, że niedość zadawałniać wzrok: trzeba jeszcze zaspokoić to, co się w nas porusza, pomimo wszelkie usiłowania przeciwne — i jak Galileuszowi, wyrwa nam te prorocze słowa głębokiego przekonania — „E pur si muove!“

Doszło więc do tego, że tegoroczna wystawa, urządzona i prowadzona przez samych artystów, wydała fakt niesłychany tu w rocznikach sztuki: iż nie znaleziono ani człowieka, ani dzieła, któremu by można było przysądzić: wielki medal nagrody. Za czasów *administracji*, jak się tu zowie zarząd oficjalny, gdyby się coś podobnego zdarzyło, nie znaleziono by dosyć słów na jej niędolność w ocenianiu dzieła, w pojmovaniu artyzmu.

Dziś, dzięki ulubionej formułce naszego wieku „Równi z równymi“ schylnono pokornie głowę przed wyrokiem, sprawiedliwym w gruncie. A chociaż nie zabrakło talentów, które zaproteutowały hałaśliwie przeciw wyrokowi kolegów i pod nazwiskiem „Niepodległych“ (*Indépendants*), poszli w Tuilleryjskich Ruinach otworzyć swoją kapliczkę — ta protestacja nie wywarła i nie może wyrzucić żadnego wpływu, bo straszliwa mierność: wystawy bije wszystkich w oczy i redukuje do fantazyi i chimery wszelkie usiłowanie utrzymania się ze zdaniem przeciwnem.

W tej powodzi szaraczkowej mierności nasi artyści zniknęli, jak kropla rosy w morzu! Nawet i „Hołd Pruski“ nie potrafił skruszyć tej Salomonowej pieczęci — zakłęcia na wieczne milczenie. Obraz Matejki, znany już wam z warszawskiej wystawy — niema więc co mówić — widzieliście go nawet w lepszym może świetle, bo zaraz po wyjściu z pracowni. Dziś koloryt ściemniał niezmiernie, a przy natłoku, jaki zapełnia płótno, trudno jest zdać sobie sprawę, ze znaczenia przewodniej myśli — mistrza i obrazu. — Ciasno, duszno na tym krakowskim placu i wygląda to, jak stara wspaniała jaka makata z XVI wieku; każdy, jak ja, odchodzi rozczarowany i pyta się: gdzie jest ten blask, ta jasność, to życie — które nas tak porwały za serce i duszę w 1867 r.?

Poraz już drugi mistrz Jan Matejko pokazuje nam, co może jego talent w zapasach z największą trudnością sztuki, z rozwiązaniem kwestyi natłoku — „W bitwie Grunwaldzkiej“ i w „Hołdzie pruskim“, ani jednego cala wolnego nie zostało na płótnie! — bene! — każda postać odrębna, jest bez poszlaki — *optime!* Ale teraz, na miłość Boską! prosimy o powietrze i światło!

Brandt i Chelmoński — z trudnością wielką — przeciw wychodzą z tej mgły dławiącej. Brandt szczególnie, w swojej „Trudnej przeprawie“, wystąpił z taką biegłością, delikatnością i maestryą pendzla, że ten niewielki rozmiarem obrazek, ten kawał przyłasku, ten rodzaj piekielnego wyboju, na którym się wymijają: wysoka nejdyczanka, dzielną czwórka zaprzężona, i skromny wózek z dwoma szkapami chłopskimi, przybierają ogromne, dramatyczne znaczenie — i patrzący czuje jakby go coś popychało naprzód, potrzebę rzucić się na pomoc w biedzie.

U Chelmońskiego zawsze tezsame, znajome nam, sanie, tezsame szkapy od stu dyabłów, ciżsami panice jadący na karnawał, po okropnej, nieurtartej drodze, i tozsamo zaniedbanie w szczegółach, tażsama „niepodległość“ w formie i tenzsam mętny koloryt. Ale powiedzmy sprawiedliwie i tenże sam niezaprzeczon talent — uczucia i prawdy, który się gwałtem dobywa, jakby pomowoli artysty i pomimo najniekorzystniejszych warunków, w jakich Chelmoński zmusza wrodzone zdolności, aby pokornie w ślady szły jego niesłychanej fantazyi i niewysłowionego zaniedbania wszelkich wymagań teorii i praktyki.

Są tu jeszcze pp. Ciesielski, Gassowski, Merwart, Przepiórski, panna Dziekowska (Kazimiera) i gdyby nie jej nazwisko na tej liście, powie-

działbym, że: — „de minimis praetor non curat“, ale, przez grzeczność dla płci pięknej i dla prawdziwej zdolności malarskiej tej pani, spieszę jej oddać hołd należny, i przechodzę do artysty i dzieła, które zasługuje, nietylko na uwagę, ale nawet na to słowo szacunku, jakie się należy prawdziwemu artyście i dziełu, które mu daje miejsce zaszczytne w rzędzie najlepszych rzeźbiarzy naszego czasu. Mówię tu o p. Cypryanie Godebskim, i o jego projekcie nagrobka dla p. P... przedstawionym w gipsowym odlewie naturalnych rozmiarów. Zmarły nasz rodak, dla którego przeznaczony jest ten nagrobek, zostawił dwoje sierot. Artysta, przedstawił tu ojczyznę w postaci anioła, który pod skrzydła swej opieki przygarnia biedne sieroty. Myśl to wzniosła, moralna, poetyczna nad wyraz, a doskonałe ugrupowanie trzech pięknych postaci, staranne i biegłe wykonanie modły, zapowiadają, że oryginał będzie ozdobą prawdziwą polskiego rzeźbiarstwa, i jednym z najlepszych dzieł naszego biegłego — ale, niestety, tak mało u nas znanego artysty.

Chciałbym obudzić powszechną uwagę, przagnąłbym, na ile mnie stanie, przyczynić się do otwarcia oczu publiczności. Chodzi tu bowiem o artystę w całym znaczeniu tego wyrazu. P. Godebski liczy już długi szereg dzieł, w których liczbie doskonałe popiersia poczesne zajmują miejsce. Jedno z ostatnich, chociaż wykonane w najtrudniejszych dla rzeźbiarza warunkach, bo ledwie miał kilka godzin czasu, do schwycenia rysów z natury — jest to znakomite popiersie naszego nieśmiertelnego bazarza — bolesnej ofiary niemieckiej prawiedliwości, Kraszewskiego. Popiersie to, ma dziś podwójną i nieoszacowaną wartość. Jako ostatnia pamiątka Kraszewskiego, kiedy w przededniu ciężkiej niedoli i więzienia, w przejeździe z Prus, chory i cierpiący, zgodził się pozować kilka godzin w pracowni p. Godebskiego i jako prawdziwe dzieło sztuki, wielkiego podobieństwa i charakteru — dzieło to, niestety — wspaniały i ciekawy *unikat*, zostaje w pracowni artysty! Było to moim zamiarem, aby nabyć to popiersie dla naszej Biblioteki Towarzystwa Historyczno-Literackiego; ale my jesteśmy biedni. Czekamy więc, aż który z naszych rodaków, szczęśliwszy i możniejszy od nas, pomny na tyle zasług, jakie biedny więzień położył dla kraju, przyjdzie i serdecznym datkiem otworzy drzwi, nie więzienia, ale pracowni, w której pokutuje za swoje i nieswoje grzechy znakomity powieścieo-pisarz.

Obok tego nagrobka, o którym mówiłem, jest jeszcze na wystawie śliczne popiersie z wypalanej gliny (*terra cotta*), poety francuzkiego p. Armanda Silvestre'a, przez tegoż Godebskiego wykonane; twarz to pełna, pulchna, uśmiechająca się wzrokiem i ustami, ma coś, co przypomina, jakby starożytne greckie typy Satyra lub Bachusa; a całość jest traktowana z tą pojętnością talentu, która nie traci żadnego z charakterystycznych rysów swego wzoru.

Teraz bez żalu przebiegnę wystawę i jej 4.658 okazów! i poprowadzę was tam, gdzie znajdziemy, jeżeli niezupełne, całkowite zaspokojenie naszych wyobrażeń i wymagań, pod względem malarstwa, to przynajmniej spotkamy się oko w oko z dwiema osobistościami, które w dzisiejszej epoce i w Paryżu zajmują jakby dwie przeciwległe ostateczności w sztuce i są najwybitniejszą postacią, jakby uosobioną charakterystyką dwóch rodzajów, poimowania i odtwarzania natury, w ich zastosowaniu do sztuki.

(Dokończenie nastąpi).

## Oddział słowiański paryżkiej biblioteki

MUZEUM PEDAGOGICZNEGO.

Paryżkie Muzeum Pedagogiczne zawiadomiło rozmaite pedagogiczne, lub kwestyą wychowania zajmujące się czasopisma słowiańskie, o utworzeniu w Bibliotece tegoż Muzeum osobnego oddzia-



## ROMANTYZM WE FRANCYI

przez

JERZEGO BRANDESA

w streszczeniu podał

Edward Lubowski.

(Dalszy ciąg).

tu dla dzieł, czasopism i wogóle wszelkich ważniejszych wydawnictw treści pedagogicznej, wychodzących w językach słowiańskich. Okólnik, wystosowany w tym przedmiocie, zawiera zarazem prośbę, aby każde czasopismo, które podobną wiadomość otrzyma, przyłożyło się do możliwego jej rozpowszechnienia, a to celem pozyskania dla wspomnianej Biblioteki przysyłki wydawnictw pedagogicznych swego kraju, udzielanych jej sposobem daru lub zamiany (à titre de dons ou de l'échange). Chęć zapoznania się z ideą pedagogiczną rozmaitych narodów, ze stanem prac i postępów czynionych w tym kierunku, skłoniła Paryżkie Muzeum do tego kroku, który jako międzynarodowe zbratanie myśli edukacyjnej, stałby się wzajemną pomocą dla wszystkich pracujących na tem ważnem dla ludzkości polu.

Z pism wychodzących w języku polskim dostały wezwania, oile wiemy, „Przegląd Pedagogiczny”, p. Eugeniusza Babińskiego, oraz „Szkoła” będąca organem Galicyjskiego Towarzystwa Pedagogicz. „Szkoła”, odezwę Paryżkiego Muzeum otrzymawszy, odpowiedziała, że centralny zarząd Towarzystwa będzie przysyłał mu wszystkie wydawnictwa, któremi rozporządza, wzamian za podobną przysyłkę wydawnictw francuskiej instytucji.

Komitet „Centralnego Zjednoczenia Stowarzyszonych Nauczycieli czeskich”, przedstawiany przez sekretarza swego Jana Mrazika, odpowiedział dyrekcji Paryżkiego Muzeum, jakby w imieniu wszystkich pedagogicznych pism czeskich, które wezwaniu otrzymały, wyrażając gotowość swą do wejścia w pożądany i „z radością” przyjęty stosunek z Biblioteką Paryżką. „Aby przecież przesyłać książki i czasopism czeskich odbywała się systematycznie”, komitet postanowił sam się tem zająć i zapytuje tylko: czy dyrekcja Paryżkiego Muzeum zechce znosić się z nim bezpośrednio? Komitet żądał też w dalszym ciągu, aby w razie przyjęcia tego pośrednictwa, Biblioteka Muzeum przysyłała mu wprost wszystkie książki i czasopisma pedagogiczne, któremi rozporządza, a wtedy stanie się to staraniem komitetu, aby pedagogiczna drużyna czeska, nie tylko była zawiadomiana o treści wszystkich dobrych książek i dzienników francuskich, ale również o rozwoju pedagogicznego życia Francji, o usiłowaniach łozonych w tym kierunku przez jej pedagogów.

Czy komitet „Centralnego Zjednoczenia Stowarzyszonych Nauczycieli Czeskich” nie okazał tu rozumnie troskliwej dbałości o naczelną kierownictwo w tym stosunku wymiany czesko-francuskich myśli pedagogicznych? Można to przypuścić i trzeba temu przyklasnąć, bo widnieje tu ta, wszędzie w Czechach okazująca się, a poważnie przez wszystkie sfery towarzystwa pojęta, organizacja, która chce i umie społeczeństwu swemu drogi torować i w zasadniczych kwestiach jego moralnego rozwoju spójnie, ze względem na ogólny interes go trzymać. Takt i dojrzałość myśli, pracowitość, oględność czeska zaznacza się na każdym kroku, dając z siebie żywy przykład tego, co powieściopisarz niemiecki (Spielhagen) w formie ideału oczom ludzkim przedstawił. Tylko „w gromadzie i wszereg”, to jest karnie i porządnie idąc, do pożądanych celów się dochodzi.

Organ urzędowy bułgarskiego ministerium oświecenia „Uczeben Vestnik”, wychodzący w Sofii i „Uczyliczen Dnewnik” także urzędowy organ Rumelii Wschodniej, wychodzący w Filipopolu, podobnie z wymianą na wydawnictwa Paryżkiego Muzeum Pedagogicznego przesyłane być mają do Oddziału Słowiańskiego Biblioteki tegoż Muzeum. Dodać tu należy, że jest to zarazem centralna biblioteka początkowego nauczania we Francji.

Zupełnie inaczej usposobiony a ukształtowany od reszty ludzi, czuł sam, że nie może liczyć na ogólną sympatią ani na to, ażeby być zrozumianym przez ogół, dla tego stara się pisać językiem (une langue sacrée), zrozumiałym tylko przez wybranych, dlatego jego życzenie, ażeby choć jednego znalazł czytelnika: „un lecteur unique, unique dans tous les sens”. Ztąd też pochodzi skłonność jego do ukrywania się. Nietylko, że wszystkie swe książki wydawał pod pseudonymem (de Stendhal), ale każdy szczegół, który zaszedł we własnym jego życiu, podsuwa innym. Przedstawia się też w pismach swych w najrozmaitszych zajęciach i zawodach, a chciałby pisać cyframi dla wtajemniczonych, gdyby się dało. W tem usiłowaniu napędzenia czytelnika na fałszywe tropy, była i tajemniczość dyplomaty i podejrzliwość przeciw politycy. W swej młodości poznał dobrze politykę austriacką i Napoleona i ciągle lękał się, że pochwycą jego korespondencją. Dlatego nie podpisywał nigdy listów prywatnych swoim nazwiskiem. Przeszło 70 pseudonymów znaleźć można w jego korespondencji.

Szczęście dla niego samego polegało na zuchwałym czynieniu i na namiętnej miłości. Miłość zaś wojny i kobiety, była u niego jedną namiętnością. Była tem co zwykł być nazywać: *le divin imprévu*, czyli tą namiętnością, w której zawsze czuje się poetą. Pierwszą zadowolnił Napoleon, drugą Włochy. O Francuzkach tak pisze: „Po 15-letnim pobycie w Paryżu, nic nie ma dla mnie obojętniejszego w świecie nad Francuzkę”. Lubi on energią w czynach i w uczuciach: dlatego ubóstwia Napoleona, dlatego kocha Medyolanekę, dlatego maluje jako pisarz w XV-go i XVI-go we Włoszech owe czasy lepiej, aniżeli teraźniejszość. Długi czas nosił się z planem napisania „Historji energii we Włoszech” i można powiedzieć, że jego według starych rękopismów kopiowane i opracowane włoskie kroniki dały psychologowi włoskiej energii... Miłość czegoś niespodziewanego „imprévu”, zrobiła go entuzjastą, dylettantem, cyceronem i biografem. Kochał Cimarosę, Correggia Ariosta i Byrona, tak jak się kocha kobietę. Z Byronem np. zachowywał się dziwnie, sprzeczał się o Napoleona, nie odpowiadał na jego list (co do dzieła W. Scotta o Napoleonie), ale tam gdzie się nie krępował, jakże o nim pisał: „Byłem wtedy w „Larze” zakochany... kiedy się zerwała nasza rozmowa, nie mogłem jej zacząć nanowo, tak mi ciężko i tkliwie głos odebrały. Gdybym był śmiały, byłbym Byronowi ręce ucałował i wybuchnął płaczem...”

A zawsze, wśród uczuć i akcji, jakże obserwować umie sam siebie! Podczas bitwy pod Budyszynem notuje: „Między 12-tą a 3-cią, widzimy całą bitwę czyli nie widzimy nic. Przyjemność polega na tem, że się jest „trochę” wzruszonym tą pewnością, iż się coś strasznego przed naszymi oczyma odgrywa. Majestatyczny grzmot armat przyczynia się wiele do tego, a mnie zdaje się, że gdyby kule świszczwały i grały, wzruszenie nie byłoby tak wielkiem. Swist mógłby być równie strasznym, ale nigdy tak pięknym...”

Taine i Bourget pisząc o znakomitym Beyle'a sposobie analizy namiętności, przypominają Spi-nozy mistrzowską część III jego etyki: *De affectibus*. Z Beyle'a był istotnie kawał filozofa; starał się on każde zjawisko życia uczuciowego rozłożyć na żywioły, wskazać związek pomiędzy ideami a wzruszeniami, nadając charakter jednostkom. Dbał przytem głównie o rozmaitość zawiłań u-

czucia, nie o jego siłę, szukał podstawy rozmaitości charakterów w głębokich narodowych i klimatycznych przyczynach i szkicował psychologią ras. Nie trzymając się naukowej w tem metody, pragnął jednak żywo przy badaniu stanów duszy, postępować naukowo... Jasnym jest, że dla Beyle'a szczęście leżało w tem, iżby widzieć jasno stan swój wewnętrzny oraz mechanizm duszy ludzkiej. Był tego zdania, że powodzenie, szczęśliwa miłość i wogóle szczęście, zaostreza rozum i siłę sądu, gdy przeciwnie nie tak człowieka nie unieszczęśliwia, jak brak jasnego sądu. Tylko, że praktyka życiowa Beyle'a kłóciła się z jego teoryjami, gdzie pomimo jego wybornej filozofii życia pozwalającej sądzić o wielkiej równowadze umysłu, — pomimo cynicznej szorstkości w obejściu (pani Sand przestraszyła się go przy spotkaniu we Włoszech, gdzie była z Mussetem) pomimo, że jako myśliciel, wolnym był od złudzeń, przecież poza swym zdrowym temperamentem i suchą logiką, chował artystyczną drażliwość na wszelkie wrażenia, tak dalece kobiecej natury, że w tem chyba przewyższył Rousseau'a. Rzadko też znaleźć drugiego człowieka, któryby przy całym pragnieniu naturalności i bezwzględności, więcej od niego rządził się *względami*; któregoby duch, tak pożądający prawdy, silniej się od niego maskował; któregoby nareszcie nienawiść obłudy, tak gorąca, była zarazem tak mało szczerą.

Prócz lichego romansu *Armanca* (1817) nie wydał Beyle aż do r. 1830 żadnej większej poetycznej pracy. W r. 1830 i 1831 dopiero wydaje dwa wielkie swe romanse: *Rouge et noir* i *La Chartreuse de Parme* (ta skończona dopiero r. 1839), oraz *l'Abbesse de Castro*. Rzecz *Rouge et Noir* dzieje się we Francji, *la Chartreuse* we Włoszech. W obydwóch bohaterem jest młodzieniec marzycielsko zakochany w Napoleonie, który jednak po upadku Napoleona, nie zna innego środka dla zrobienia kariery, prócz gry w obłudę, którą też doprowadza do mistrzostwa. Zarówno Julian jak Fabrycyusz, mają więcej usposobienia na officerów kawaleryi, zostają jednak obaj duchownymi; jeden kończy katolickie seminaryum, drugi zostaje biskupem. Słusznie nazwano te książki podręcznikami obłudy; wynosi się ztąd przekonanie, że autor czuł głęboki wstręt do obłudy, w tym zaś celu maluje obłudę, jako potęgę panującą w całej swej epoce, potęgę, której każdy ulegał, jeżeli chciał iść naprzód. Chce przytem autor odegrać rolę nowoczesnego Machiawela, gdyż chwali bohaterów swych, gdy im się obłuda powiodła, a potępia ich, gdy się pozwolili zdemaskować. Dlatego przykre jakieś uczucie nie opuszcza czytelnika przy tym ironicznym sposobie opowiadania.

Beyle, nawskroś rozsądny i obserwacyjny, mało ma zmysłu i talentu do oddania świata zewnętrznego o kolorach i kształtach. Obchodzi go tylko świat uczuć i zmysłów; osoby jego mają świadomość stanu swego duszy nadzwyczajną i to stanowi właściwą budowę jego romansów. Dlatego tyle u niego długich monologów, ale nie lirycznych, jak u Sand, lecz reflexyjnych. Najcharakterystyczniejszym zaś rysem bohaterów Beyle'a, — które według zwykłej miary są do gruntu niemoralne i bez sumienia — jest to, że oni sami w swoim wnętrzu stworzyli sobie własną moralność. Tego dokazać mogą tylko ludzie wyżej rozwinięci, i w tem wyższość tych osób nad inne spotykane w książkach lub życiu. Walczą one dotąd, dopóki własnego nie zdobyły szacunku. Tacy są: Julian, Fabrycyusz i Mosca minister. Osobistości te, tak przedstawione, są jedynemi w całej literaturze nowoczesnej; nietylko patrzymy im w duszę, ale widzimy i psychologiczne prawa, na mocy których tak a nie inaczej myśleć i działać musieli. Mało który pisarz dostarczył tyle tego rodzaju przyjemności czytelnikowi, ile jej dostarcza Beyle.

Nie możemy powtarzać tu nadzwyczaj trafnie przytoczonych przez Brandesa ustępów, w których się właśnie widzi nadzwyczajny dar analizy psychologicznej w Beyle'u. Słusznie też powiada krytyk, że nie ma drugiego powieściopisarza, któryby, tak jak on, umiał przedstawiać wewnętrzne walki i wpływające ztąd usposobienia duszy. Kreacje jego nie są nigdy ludźmi pospolitymi;



zawsze mają trochę pogmatwany, ale prawdziwy, heroizm i polot porywający duszę. Przepysnie charakteryzuje on kobiece postacie, np. panią Rénal i hrabiankę de la Mole w *Rouge i Noir*, a proceder jego przytem taki, jak go sam opisuje w liście do Balzaca: „Biorę jakąś mężką lub kobiecą osobistość, którą dobrze znam, zatrzymuję główne rysy jej istoty, tylko, że ją lepiej uduchowiam“ (ensuite je lui donne plus d'esprit).

Z dwóch tych romansów niezaprzeczenie *Rouge et noir* już wyższy, bo w drugim niezawsze się jest pewnym gruntu, na którym rzecz się roztacza, a to z tego powodu, że Beyle odwzorowuje Włochy według wspomnień entuzjastycznych swej młodości. W *La Chartreuse* wreszcie więcej jest zewnętrznej romantyki, morderstw, ucieczek, trucizny i t. p., chociaż obydwoim tym romansom wspólna jest głęboka wewnętrzna romantyka.

Jakkolwiek Beyle należy bezwarunkowo do nowoczesnych pisarzy, jest jednakże romantykiem, tylko że jego romantyzm właściwością bywa silnych tylko i krytycznych duchów. Składa się nań i marzycielstwo posunięte aż do szału i tkliwość aż do poświęcenia. Jego Julian „człowiek nieszczęśliwy, znajdujący się w rozterce ze społeczeństwem“, jest bratem, tylko mędrszym, Ruy-Blasa, Didiera, Gilberta, a spokrewniony z Antonym, z Frankiem Musseta, z Lilią Sand i Rastignakiem Balzaca.

Beyle jako pisarz pochodzi z wieku XVII-go i XVIII-go; kształcił się według Montesquieu'go, a przypomina czasami Chamforta, tylko że nie był stylistą. Obraz był dla niego niczem w porównaniu z ideą; nie umiał pisać dla oka, i nie umiał pisać dla ucha—poetycznej prozy nie nawiązywał: dlatego drwił z „Korynny“ i z dykcyi p. Sand. Do Balzaca pisze, że tworząc „la Chartreuse“, czytywał kodex cywilny, ażeby być zawsze naturalnym. Pomimo jednak tej pogardy dla aryzmu, posiada on artystyczne przymioty, gdyż chociaż dzieła jego, jako kompozycya, w całości są mierne i o słabym rysunku—to wszakże wiele szczegółów wykonanych jest pomistrzowsku. Wogóle umie Beyle często jednym słowem podnieść całą kartkę, chociaż nie umie pisać w ciągłym związku. Balzaca uwielbia, chociaż stylu jego znieść nie może; Beyle'a zaś dykcyja ma bądźco bądź tę zaletę, że jest ożywioną prawdziwym *horror vacui*, że treść jego pism nigdy nie jest pustą, ale zawsze nadzwyczaj bogatą.

Kiedy umarł, w r. 1842, nagle, tak jak sobie życzył, trzy tylko osoby były na jego pogrzebie, a nikt nie przemówił ani słowa. Nie rozumiano go wówczas wcale: dziś sława jego dojrzała. Faktem jednak jest—dodaje Brandes—że Beyle jako psycholog, ma bezpośredniego po sobie następcę w H. Tainie, a jako poeta, nie innego ucznia, jeno Prospera Merimée.

## XI. Prosper Merimée.

Antypatye poetyczne i polityczne, które rozdzieliły daleko od siebie W. Hugo i P. Mérimée, pozwalają zapomnieć, że obaj niegdyś w jednym znajdowali się obozie, a nawet przyjaźnili się ze sobą. Anagramat stworzony z nazwiska Prospera Merimée, t. j. „*M. Première Prose*“, może idź się jeszcze służy dla światowca jako wzór najlepszego prozaika francuzkiego. Ale tylko dla światowca, bo dzisiejszej zmysłowej publiczności nie wystarcza już naturalność, zwiezłość i jasność wyrażenia, jako przymioty najpierwsze stylistyczne. Wielu nie przyznawało nigdy, aby Merimée należał kiedykolwiek do rzędu romantyków, lecz ci mylą się, gdyż pomimo ściśle klasycznego jego stylu, należy on z wielorakich względów do przedstawicieli francuzko-romantycznego kierunku.

Miał on wysoko-artystycznie ukształconych rodziców, a matka jego odznaczała się niezwykle silnym charakterem. Po skończeniu prawa, mając lat 22, wstąpił w świat z wielkim powodzeniem jako poeta. W r. 1831 mianowany został w miejsce Viteta inspektorem historycznych pomników Francyi. Dużo podróżował, co dokończyło jego ukształcenia i nadzwyczajnej zdolności do języków. W r. 1844 został członkiem Akademii

Francuzkiej, w r. 1853 senatorem, która-to godność zaszkoziła jego powadze; umarł w r. 1875 w Cannes.

Zdolności jego i usposobienia są bardzo powikłanej natury. Już jako młodzieniec był bardzo dumny a zarazem śmiałym i nieśmiałym, czyli, że posiadał zuchwałość ducha, ale charakter nieśmiały. Wrodzoną tę nieśmiałość chcąc pokryć, okazywał się albo sztywnym i zimnym, albo lekkim aż do cynizmu, przytem miał gorąco czujące serce, ale i krytyczny sceptyczny umysł. Przy całym tem krytycznym usposobieniu posiadał wiele poetyczną wrażliwość.

Jako krytyk, cenił nadewszystko prawdę, a wrodzona śmiałość ducha dyktowała mu bezwarunkowe jej wypowiedzanie. Cała jego „Korespondencya“ świadczy o tem. Ten popęd tkwiący w nim do mówienia bezwzględnej prawdy, tamowała znowu duma i bojaźliwość charakteru. Wcześniej już przekonał się, że kto się z uczuciami swemi zdradza, ten naraża się, nie tylko na szyderstwa, ale i na poufałość gawiedzi, a przytem był pewny, że kto w jego otoczeniu chwalił się swą szlachetnością, zamiłowaniem religii i moralności lub patryotyzmem,—ten niezawodnie pragnął zrobić dobry interes. Ażeby więc ukryć swe uczucia przed profanami, uzbroił się gładką ironią, niby pancerzem. Wolał uchodzić raczej za gorszego, niż być, aniżeli za wzór cnoty, i w tym duchu tak pracował nad sobą, że stracił swą pierwotną naturalność, a jej miejsce zastąpił ton, naturalny jeszcze, ale już wyrafinowany. W nowelli „Le Vase étrusque“ kreśli pod przybraną osobą Saint-Claire'a, nader melancholijnie swój własny portret.

Merimée, mając lat 19, poznał w salonie pani Pasty starszego o lat 20 Beyle'a. Z konieczności musiał Beyle wielki wpływ wywrzeć na pokrewnego sobie duchem; to też porównyując pisma obydwóch, znajduje się uderzające w nich podobieństwo... Przedewszystkiem podobni są do siebie obydwaj przez zamiłowanie faktów. Merimée sam się przyznaje, że w historii zajmują go tylko anegdoty, a wśród tych, najbardziej te, które dają obraz obyczajów lub charakterów całego stulecia. Beyle taksamo. Można nawet rzec, że anegdota jest u niego naturalną formą myśli: nie myśli w anegdotach, anegdotami maluje indywidualum, biografiami szkicuje epokę. Jego nienawiść wszystkiego, co nieokreślone, doprowadziła go do opowieści nowelistycznej faktu, do obiektywnie przedstawionego małego dramatu. W ten sposób opowiedziane przezeń anegdoty w swej treściwej zwiezłości porywają, a nie są nigdy pospolite, lecz zawsze dają odpowiedni wyraz istocie rzeczy.

Ztąd Merimée bardzo jest doń podobnym, i jeżeli Paweł Heyse chwalać Beyle'a, powiada o jego włoskich opowieściach, że „przedstawiają one silne, bezwzględne namiętności bez złudzenia—z zimnem lub gorącym zapomnieniem się—aż do ostateczności“ to ocena ta da się literalnie zastosować i do nowelli Merimée'go. Pomimo to materyał nowelistyczny u Merimée'go a Beyle'a, jest tak odmienny, że łatwo odkryć, gdzie się wpływ starszego pisarza na młodszego kończy. Beyle stara się nadewszystko o stworzenie ogólnych idei; dla niego rys charakteru jest zawsze tylko przykładem, mającym objaśnić prawo psychologiczne. Daje dlatego czytelnikowi materyał swój w anegdotach, ażeby czytelnik mógł sobie łatwiej postawić wnioski. Często bałamuci nawet takimi objaśnieniami, np. gdy mówi: „Tak postąpiła, bo była Włoszką, gdyby była Francuzką—byłaby postąpiła całkiem inaczej“. U Merimée go nic podobnego nie znajdziemy: żadnych reflexy albo dygresyi, tylko ścisła dokładność w przedstawieniu faktów, a po za tem nic. Gdy sobie wybrał jakie *curiosum*, najczęściej jakąś pozostałość dzikości pierwotnych obyczajów, która go pociąga w zastosowaniu do teraźniejszości—to wtedy chodzi mu o to tylko, ażeby go podnieść ponad poziom dzisiejszej powszedniości. Nie myśli go jednak bynajmniej tłómaczyć ogólnymi pojęciami, religijnymi, socyalnymi czy politycznymi. Perspektywę *à vol d'oiseau*, pozostawia innym; jego zajmuje tylko tylko unikat, który odkrył. Taką realistyczność w przedstawieniu zachowuje

i przy obrabianiu obcych przedmiotów, np. kiedy zastrzega się przeciw jakimubądź innemu objaśnianiu Don-Kiszota, jak tylko jako parodii rycerskich romansów.

Beyle i Merimée, ze swem zamiłowaniem ścisłości formy, nie nawidzili retoryki klasycznej francuzkiej, obydwaj niecierpieli metrycznej formy. Atoli Mérimée idzie dalej. Na dnie duszy Beyle'go leżał liryzm, Merimée zaś wyrzuca ją stanowczo ze swej prozy, i gdyby dawne hasło: „Bez liryki nie ma poety“ prawdziwym było, to Merimée nie zasłużyłby na miano poety.

(Dalszy ciąg nastąpi)

## Kronika działalności kobiecej.

— W czasie paryzkiego obchodu Jubileuszu Jana Kochanowskiego p. Seweryna Duchńska miała odczyt o życiu i dziełach poety.

— Anna z Luboradzkiej Gardulowa, doktorka medycyny, wykształcona do zawodu lekarskiego w Ameryce, w Bostonie, wraca do kraju wraz z żyjącymi dotąd rodzicami, z którymi emigrowała niegdyś do Ameryki. Obecniepani ta jest wdową, zamierza osiąść i praktykować w Wilnie, zkąd jest rodem. Dodać tu należy, co pismo nasze już podawało, że wśród medycznych szkół i akademii Ameryki głównie, a niemal jedynie Boston uzdalnia kobiety do prawdziwej wiedzy doktorów medycyny.

— W bieżącym roku przypada z zapisu Mojżesza Neufelda na dział kobiecej rs. 30), które tytułem posagu mają otrzymać dwie ubogie panny wyznania Mojżeszowego z rodziny Iwankierów lub Neufeldów, a gdyby nie było takich, dwie panny sieroty, córki niezamożnych handlujących otrzymają po rs. 150 każda.

— Na smutny niedobór obywatelskiej pracy kobiecej i obywatelskiego uczucia kobiety zaliczyć trzeba fakt, który *Kuryer Warszawski* z dnia 31 Maja podaje, jakoby dwie, w Warszawie mieszkające dziewczynki, Polki, około lat siedmiu mające, nie umiały pacierza polsku. Ciężko pomysleć jakim być musi całe wychowanie tych dzieci, jak tam biedne te duszki urabiają się do życia z francuzką, zapewne bezmyślnie wyrecytowaną modlitwą? Prawie się w to wierzyć nie chce, tak rzecz cała zdaje się w dzisiejszych czasach anomalią i chyba nie ma tu wcale wychowania macierzyńskiego, a jest tylko wychowanie guwernantki Francuzki—najcieńszy, najgorszy, najgrzeszniejszy niedobór pracy kobiecej.

— Także o brak należytej pracy pomawia kobiety korespondent *Kurjera Warsza wskiego* z Dąbrowy Górniczej. Niedawno, bo w 1877 r. wybudowany tam kościół, obecnie urządza się wewnątrz, otóż gdy ze strony mężczyzn uczyniono w tym kierunku wiele i znacznych ofiar, brakuje wśród tej pobożnej czynności kobiet, i to, co one z pracy swojej dać tam powinny, skupują przeważnie górniczy, z p. J. Bergerem na czele. I to fakt dziwnie sprzeczny z tem, co praktykuje się stale, nie tylko w Warszawie, ale na całym obszarze kraju i z wahaniem pewnem zarejestrować go przychodzi.

W francuzkiem miasteczku Honquetot, w pobliżu Havru, przy wyborach do rady municypalnej, kobieta otrzymała tak znaczną większość głosów, że musiano rozpisać wybory nowe, ponieważ według praw francuzkich kobieta ani wybierałna, ani głosującą tu nie jest. Szkoda, że nie wiemy jeszcze nazwiska ani szczegółów żadnych o tej niedoszłej rajczyni Honquetot, gdyż musi to być osobistość niepospolita w swoim zakresie.

— Sprawa głosowania kobiet do Parlamentu Angielskiego, agitująca się corocznie, zaznacza się w bieżącym roku silniejszym niż kiedy ruchem. W Marcu (24) lord Jan Manners, członek Izby Niższej, przemawiał w tej materyi, dowodząc, że położenie kobiet, płacących krajowi podatek a mi-



mimo-to niedopuszczonych do praw głosowania na wybory do parlamentu, jest nieprawidłowością i nieuzasadnionym wyjątkiem. Takich tylko kobiet, które jako dzierżawczynie mniejszej posiadłości ziemskiej (female farmers) podatki owe płacą i pracują samodzielnie: jest w państwie angielskim 20.000, a gdy doda się do tego właścicielki posiadłości większych, oraz kobiety, które w przemyśle, w handlu pracują i kobiety stojące na czele zakładów naukowych, — liczba pomnoży się wielokrotnie. Debaty w tej kwestyi powtórzyły się dnia następnego i jeszcze 7 Kwietnia przy silnym odporze większości Izby. Powołano się przytem na wiele powag naukowych: najpierw za Sturta Milla, który ze względu na jedność małżeńską i wymagalną w rodzinie pracę kobiety, jako matki i gospodyni, mężatce, zatem kobiecie najliczniej i najpoważniej w narodzie reprezentowanej, prawa głosowania odmówił. Powoływano się następnie na Huxleya, który opierając się na fizycznym stroju kobiety słabszym, i ztąd ujemnie oddziaływającym na pewne strony umysłowości, zupełnego równouprawnienia kobiety bez szkody dla społeczeństwa nie przypuszcza. Huxley, obojętnie i niemal pogardliwie traktując obecny ruch emancypacji kobiecej, pozwala na naukę, jakiej kobieta pragnie, wyrażając się, że „troszczenia więcej mądrości nie odbierze kobiecie jej wdzięcznego uroku i nie zmieni złotych warkoczy na jej głowie“. Pozwala również kobiecie „która tego żąda“, być adwokatem, lekarzem, politykiem, przemysłowcem, kończąc, że przecież „ostatecznie kwestya rozstrzygnięta zostanie przez prawa przyrodzone“. Kobieta zajmie może w społeczeństwie miejsce inne, od dziś posiadanego, ale z pewnością nie to, o jakim marzy, i ku któremu dąży obecnie pewien odłam kobiet. „Stare Salickie prawo przyrody nie da się zważyć“ i kobieta w ogóle swoim, nigdy do szerszego równouprawnienia z mężczyzną nie dojdzie—powtarzali za uczonym biologiem przeciwnicy głosowania kobiecego. Odpowiadający im, zaczęli o poboczną stronę kwestyi, dowodząc, że ponieważ kobiety w większości swojej uważane są za stronnice przekonani zachowawczych, dlatego członkowie z partii Wigów stawiają opór wejściu kobiety do Parlamentu. Lecz w odpowiedzi na to posłużono się znowu cytata, już kobiety bardzo liberalnych przekonani, Sand, która w świeżo wydanej korespondencji swojej, (tom piąty) występuje przeciw parlamentarnej działalności kobiety, motywując to, podobnie jak Mill, niemożnością pogodzenia jej z macierzyńskim i domowym zadaniem kobiety. Sand sądzi, że ta nawet, która będąc pisarką, publicystką—może być dobrą matką i spełniać uczciwie swe obowiązki u domowego ogniska — nie może bez ich szkody zostać włączoną w ruch i agitację wyborczą.

Poza rozprawami w Izbie kobiety popierające prawa głosowania kobiecego działały ze swojej strony. Siedmdziesiąt kobiet wystosowało do członków Izby petycję, żądającą przypuszczenia do głosowania na równych z mężczyzną prawach te kobiety, które równie jak mężczyźni rządowi podatki płacą i samodzielną pracę prowadzą. Oprócz tego deputacja kobieca zażądała listownie widzenia się z Gladstonem, który odpisując przez swego sekretarza, Hamiltona, wymówił się od przyjęcia deputacji w wyniku z tego powodu wymianie listów, usunął się następnie od obietnicy popierania wyborczości kobiet, a to ze względu, aby zmiana w ustawie nie pociągnęła za sobą innych, nie pożądaných przez niego zmian teże ustawy. Trzeba dodać, że „petycja siedmdziesiąciu“ jest podpisana między innymi przez Florencyą Nightingale. Są tam podpisy wielu innych znanych osobistości, ale te należą głównie do stronnictwa radykalnego i Florencya Nightingale jest, oile się zdaje, jedyną z działu tej innej działalności kobiet angielskich, która jako filantropijna i społeczna podnosi Angielkę tak wysoko. Należy nam tu dodać, że kobiety angielskie z wytrwałością sobie tylko właściwą przedstawiają Parlamentowi żądania swoje od r. 1867, czyli od przejścia billu reformy wyborczej. Żądania swoje nazywają „New Reform Bill“.

— Starcie zdań z powodu głosowania kobiet uwydatniło: oile stanowisko kobiety w Anglii

jest wyższem od stanowiska kobiet w krajach innych, szczególnie we Francji. Angielka ma głos przy wyborach do rad municypalnych, komisij edukacyjnych, w których zasiada; również głosuje na urzędy zarządu dobroczynnego (Poor law guardians), gdzie także przyznanem jej zostało miejsce i wcale nieposlednie. Prócz polityki i prawodawstwa wszystkie drogi działalności społecznej są jej otwarte.

— Nowa organizacja nauczania ciemniałych została zaprowadzoną w Anglii i, powierzoną przez ministerium oświaty miss Green przełożonej żeńskiego oddziału w *Normalnem Kollegium dla Ociemniałych*. Według tej nowej organizacji zaprowadzone zostały przy szkołach elementarnych oddziały dzieci niewidomych, lub też wyłączone dla nich szkółki, gdzie uczy ich pisać, czytać i rachować według specjalnej metody nauczyciel, czy nauczycielka, najczęściej też niewidomi. Gdy biedne te dzieci już dobrze posiadają początkową naukę, wciela się je do zwyczajnych szkół dla dzieci widzących, dodając im tylko książki na ich użytek wypukło drukowane, na których mogą czytać i uczyć się już wespół z całą klasą. Miss Green po pewnej próbie oświadczyła się za tą nową metodą nauczania niewidomych, uważając, że karność szkół publicznych, nauka zmuszająca do uwagi i punktualności, wreszcie towarzystwo dzieci więcej rozwiniętych przez używanie w zmysłu widzenia, bardzo szczerliwie oddziaływać musi na dzieci niewidome. Niemniej radzi, aby specjalne instytuta dla niewidomych zniesionemi nie zostały, i zaleca tylko, aby na czas pewien dzieci niewidome oddawane były do zwyczajnych szkół publicznych.

— Dwie doktorki medycyny praktykujące w Berlinie jako lekarki dzieci i kobiet: Dr. Franciszka Tiburtus i Dr. Anna Lemus utrzymują własnem staraniem poliklinikę. (Alte Schönhäuserstrasse nr. 23 i 24), gdzie dwa razy na tydzień: w poniedziałkowe i piątkowe popołudnie udzielają konsultacji, płatnej 10 fenigów od osoby. Pacjentek ciśnie się zawsze mnóstwo, obecnie zaś liczba konsultacji ograniczoną została do 40 osób każdorazowo. Konsultacja dziecka i matki liczy się za jedno. Przez rok przeszły, licząc go od 1 czerwca 1883 do tegoż dnia roku bieżącego, udzielono tam rady 1389 osobom, między którymi 991 pacjentek było nowych, a 398 z dawniejszych w kuracyi pozostało. Od czasu otwarcia polikliniki, to jest od 18 czerwca 1877 leczono się w niej 8858 osób. Staraniem dr. Henryki Tiburtus-Hirschfeld i Maryi Marschall otwarto przy ulicy Friedrichstrasse n. 203, zakład pozostających tam chorych, jako stacją leczniczą, utrzymującą się ze składek dobrowolnych i raz na rok dawanego koncertu. Kobiety i dziewczęta najuboższej już klasy leczą się w tym zakładzie, który kobiecą starannością prowadzony i z dobroczynnych datków, głównie kobiecych, utrzymywany przyjął pod dach swój dobroczynny w przeciągu lat 3, t. j. od 1 czerwca 1881 do 1 czerwca 1884 r. 120 osób, z których rzadka która do kosztów utrzymania swego przyłożyć się mogła. Kassa zakładu liczyła 31 maja bieżącego roku 6758 marek. Zawsze cóśkolwiek może, kto mocno chce.

— Blisko Montreux w pięknej miejscowości, hotel urządzony na ten zwykły szwajcarski sposób, zwany pensją, gdzie podróżny tygodniowo lub dziennie za umówioną cenę całe utrzymanie znajduje, usługę swoją całkowicie z kobieć sformował i zaludniają go też głównie kobiety osobliwie podróżujące samotnie. Dzienniki szwajcarskie bardzo pomysł ten chwala, uważając, że taki dom kobiet podróżujących był tam potrzebny.

— W Bernie zawiązał się komitet pań, które biednym, szkołę elementarną kończącym dziewczętom, dają możność wyuczenia się jakiegoś rzemiosła, dającego możność przyzwoitego utrzymania. Niektóre panie biorą dziewczęta do domów swoich i kształcą je na dobre kucharki, lub pokojówki. Jestto zatem dobroczynna szkoła służ.

— Szwedka, Marya Andersen, stojąca w Sztokholmie na czele stowarzyszenia: *Związek moralnej reformy i zarazem dyrektorka opiekuńczego za-*

kładu młodych a opuszczonych dziewcząt, ciesząca się życzliwością i pomocą królowej Szwedzkiej, odbyła z celem moralności publicznej związaną podróż po całej Szwecji i Norwegii. W raporcie złożonym w ministerium spraw wewnętrznych uskarża się ona na wielce obniżoną moralność Finlandyi i niedobre jej oddziaływanie na kraje szwedzkiemu berłu uległe. Nazywa Finlandyą grobem młodych dziewcząt, za służbą tam idących.

— Uniwersytet w Chrystyanii, który od dwóch lat kobiety do słuchania wspólnych ze studentami wykładów przypuścił, w tym roku przez senat swój „Odelsting“ niemal jednomyślnością porównał studentki ze słuchaczami mężczyzn we wszystkich prawach, tak do stypendyów, jak egzaminów i stopni naukowych. Norwезki Storting, to jest parlament miejscowy, idąc dalej, uznał zasadę wspólnego nauczania dziewcząt i chłopców w szkołach średnich. Krok to błędny: kobieta potrzebuje nauki innej, bo innem będzie następnie jej życie. W postępie naukowym, w oświeceniu umysłu i zdobyciu wiedzy, należy jej wedle słów Żmichowskiej: „Ubiedz taką samą na odległość, ale inną drogę“.

## DROBNE LISTKI.

— **Francuzki między-narodowe towarzystwo profesorów**, założone w 1860 r., powzięło myśl zorganizowania seryj prelekcji o literaturze francuzkiej i zagranicznej, które prelegent we własnym swym języku czyta lub mówi. Francuzką przedstawia Fr. Coppée i Juliusz Lermina; Anglią Blowitz; Prowancją Mistral; Hiszpanią Ochoa. Kto jest głosem od nas i o nas mówiącym?—nie wiemy. Prelekcye to ogłaszane będą drukiem w miarę, jak wypowiedane zostaną, mając obok tekstu oryginalnego przekład francuzki. Pierwsza z nich, Lerminey: „Ruch literacki we Francji w 1882 i 1883 roku“, ukazała się już w Paryżu; broszurka nieduża, 28 stron w ósemce.

— **Nieznana autorka**, nam przynajmniej, a jednak zdająca się należeć do nas: Wanda, wydała w Paryżu książkę, pofrancuzku pisaną: „Souvenirs anecdotiques sur la Turquie de 1870 — 1871“. Krytyka pisze, że są to opowiadania o tureckich mężach stanu, dodając—że zajmujące.

**Rozejście się oblubieńców od ołtarza**, zajmuje w tej chwili Londyn. W kościele na Westend, to jest w dzielnicy zamieszkałej przez klasy wyższe, stanęła przed księdzem para, także z wyższej klasy społecznej, w licznym i strojnym orszaku, w towarzystwie rodziców panny młodej. Po wzruszającej, pięknie przez kapłana wypowiedzianej przemowie przedślubnej o miłości i jej obowiązkach, rozpoczęła się ceremonia, lecz nagle, gdy przyszło do przyrzeczenia posłuszeństwa żony mężowi, panna młoda nie chciała obowiązującej formuły wymówić i ślub się przerwał, wśród wielkiego zmieszania wszystkich, prócz panny młodej, która dowodziła głośno, że ma prawo tak postąpić, ponieważ narzeczony był uprzedzonym, że mu posłuszeństwa nie przysięże.

— **O rozwodzie**, broszurka Ernesta Cartier, adwokata paryzkiego wysłała w zeszłym miesiącu w Paryżu, mieści w sobie ciekawe spostrzeżenia nad rozwodem, którego szczególnym zwolennikiem autor bynajmniej nie jest, ale uwzględnia jego potrzebę w społeczeństwie francuzkiem, uważając, że trzeba go mieć jako konieczność, po której jednak nie należy się spodziewać jakiegoś osobliwego zwiększenia moralności i szczęśliwości ludzkiej. Traktując rzecz głównie ze strony prawnej, autor czyni ją jednak bardzo zajmującą dla zwyczajnego czytelnika, a najważniejszem jego założeniem jest, że rozwód powinien pociągnąć za sobą pewną zmianę w cywilnym kodexie Francji. Wymieniając wszelkie powody, na których żądanie rozwodu gruntować się może, dowodzi, prawdziwie podwokacko, jak każdą z tych przyczyn można wedle potrzeby naciągnąć, jak można jej umiejętnie nadużyć: i dla uniknięcia tego wła-



śnie, radzi wniesienie takiej klauzuli, aby to z małżonków, z którego powodu rozwód nastąpi, musiało niezwłocznie połowę posiadanego majątku oddać na rzecz dzieci.

— **Nowożytny Barabbasz**, to jest Jan Allinger, z Oberammergau, który w sławnych przedstawieniach tamecznych tragedii z Pisma Ś-go, grał rolę Barabbasza od 1860 r., umarł. Sześciu następców przedstawiło się na jego miejsce, ale żaden nie został uznany za zdolnego do tej roli, ze względu na powierzchowność, która musi charakterem swoim odpowiadać przedstawianej postaci. Kto tam zgodzi się grać Judasza?

— **Lady Macbeth** znalazła obrońcę; świeżo wyszła w Londynie książka ukazuje ją w nowym świetle, jako kobietę bohaterskiego poświęcenia. Wszystko co spełniła, było spełnionem z miłości dla męża. Zabiła—aby raczej ona, niż on miał ręce krwią zmazane (!)

— **Przechadzki Francuzki po Tunisie** stanowią chyba najoryginalniejsze z odbywanych dotąd przechadzek, szczególnie, że spacerująca dama M-me Voisins, żona francuzkiego rezydenta ma lat ośmnaście i puściła się na te przechadzki, wprawdzie dla niej nie tak odległe jak dla Paryżanki, rzeczywiście jak na spacer—dla przyjemności. Postanowiła raz zobaczyć, jak wygląda jarmarku Krumirów i pojechała, do tego sama jedna, tylko z eskortą służących Arabów, którym nie dowierzała—słusznie jak się pokazało później. Choć wyprawa przedstawia się lekkomyślnie, jeżeli nie szalenie, książka jest niemniej ciekawą i nawet nauczającą. Obyczaje Arabów są wystawione malowniczo; autorka studyowała szczególnie najmniej znajome, to jest obyczaje kobiet, które poznać mogła, ponieważ mówiła doskonale poarabsku i jako kobieta miała dostęp do namiotu rodziny arabskiej „ouadda“. Zbija też mniemanie, jakoby Arabka była niewolnicą, zamkniętą w haremie. Szczególniej szlachetnie urodzona „Douadda“ co znaczy: pani wielkiego namiotu, gra w życiu arabskiej rodziny i arabskiego społeczeństwa niepoślednią rolę. Jest ona w ogóle bardzo piękną, inteligentną i pełną poetycznego uroku. Ma oczy gazelli, ręce i nogi przesliczne, i można ją porównać do Sycylianki, lub Andaluzjanki pod względem wdzięku i charakterystycznych rysów jej piękności. Pełna poświęcenia jako matka, umie być bohaterką jako żona i kochanka, i w ogóle ma w duszy wysokie i szlachetne porywy, jest heroiczną i podniosłego ducha. Francuzka podróżniczka znajdowała niejednokrotnie dowody tego ducha pomiędzy Krumirami, mimo ich gorącej, namiętej nienawiści do Chrześcijan, w których widzą napastników i wrogów swojej ojczyzny. Raz, poznawszy, że służba jej knuje zdradę, aby mieć potem dział swój w wykupie, oddała się odważnie pod obronę naczelnika zbrojeckiego pokolenia; że przeciw powierzała się jego honorowi, okazał się godnym tego zaufania i po rycersku służył jej opieką swoją, a namiot jego stał jej się schronieniem bezpiecznym wśród otaczających ją i dziko patrzących na nią trzech tysięcy zbrojnych jeźdźców pustyni.

— **Angielski podróżnik** i wojskowy wysokiego stopnia, bo generał, lord Edward Hamley, miał w zeszłym miesiącu w Londynie publiczny odczyt w przedmiocie: „Rosyja zbliża się do Indyi“. Generał Hamley wykazywał rozmaite drogi, któremi Rosyja podążać może, podawał środki, jakie jej przeciwstawić należy, i miejsca, które odsadzone być powinny.

— **Potop**, potężna plastyczna grupa, cztery metry wysoka, więc przedstawiająca postacie wyższe niż w naturze, ma wkrótce wyjść z pracowni berlińskiego malarza Maxa Klein'a. Pobudzony przez wspaniałe dzieło Michała Anioła,

przedstawiające wśród fresków kaplicy Syxtyńskiej straszny obraz potopu, postanowił on oddać w rzeźbie olbrzymią kreacją Florenckiego mistrza.

— **Cavour** nie zostawił po sobie żadnych pamiętników, mogące rzucić potrzebne światło na sprawy i ludzi, z których chętnym lub mimowolnym współdziałaniem dokonał on swego wielkiego dzieła wyzwolenia i zjednoczenia Włoch. Brak ten wypełni do pewnego stopnia korespondencja jego: „Kamilla Cavour niedrukowane i drukowane listy“, zebrał i wydał blisko osoby szlachetnego patrioty stojący ziomek jego Luigi Chiala. Listów tych jest 800, z tych dwieście już niedgdy drukowanych, 600 nieznanych dotąd. Dzieło z notami i biografiami, które życie Cavoura od czasu jego wejścia do turyńskiej szkoły wojskowej, t. j. od 1821 r. maluje, obejmuje trzy tomy. Biografia zabiera połowę pierwszego. Niemcy już to tłumaczą; przekładcą jest M. Bernardi: pierwszy tom wyszedł w Lipsku.

**Międzynarodowa Wystawa w Antwerpii**, która przez prywatne usiłowania podjęta, lecz pod protektoryat króla Leopolda przyjętą została, otwarta będzie w maju przyszłego roku. Jakkolwiek początkowo środkiem ciężkości Wystawy miała być żegluga i handel zamorski, niemniej ramy przedsięwzięcia rozszerzają się powoli i tak przemysł w ogóle, jak i sztuka należycie przedstawioną zostanie. Już teraz belgijskie stowarzyszenie, zowiące się *Towarzystwem zachęty sztuk*

*pięknych*, projektuje specjalną wystawę, do której sztukmistrzów wszelkiej narodowości zaprasza. Oddziałem szczególnego interesu będzie oddział najnowszych wynalazków z zakresu elektryczności. Wszystkie kraje Europy i Ameryka zaproszone zostały i zaproszenie przyjęły.

— **Safonisba**, tragedia zmarłego poety, Emanuela Geibel, została dla uczczenia jego pamięci na kilku niemieckich scenach wznowioną. Napisana była ośmnaście lat temu; „Bluszcz“ ją drukował.

— **Pomnik Geibla**, który niewątpliwie był największym z tegoczesnych lirycznych poetów Niemiec, ma zostać wzniesionym w rodzinnym jego mieście, Lubece. Aby pieniądze na ten cel zebrać, berliński księgarz Oskar Parisius postanowił wydać książkę pamiątkową o Geiblu, i w tym celu zaprosił wszystkich niemieckich pisarzy tak poetów, jak prozaików, aby nadsyłali utwory swoje, których przedmiotem ma być Geibel. W zakres ten wchodzi posiadane a niedrukowane: listy lub utwory Geibla, studia nad jego dziełami, lub uczczeniu jego poświęcone utwory.

Do dzisiejszego numeru *Bluszczu* dołącza się arkusz 3-gi powieści pod tytułem: **Z krwawych dni**; oraz początek powieści pod tyt.: **Sąd Boży**.

Wyszła z druku książka pod tytułem:  
**ZUPEŁNY KURS NAUKI**  
**Kroju sukien i okryć damskich**  
oraz wszelkiej **BIELIZNY**

**męskiej, damskiej i dziecięcej**

przez **THIRIFOQ' A** w Paryżu

przekład **E. H.**

wykładany w Warszawie

przez **A. KOBIERZYCKĄ**

Wykwalifikowaną nauczycielkę kroju ubiorów damskich przez Urząd Zgromadzenia Starszych cechu krawieckiego Miasta Warszawy

**z 13-stu dużemi tablicami litografowanemi.**

Książka ta sprzedawana będzie, począwszy od dnia dzisiejszego

**wyłącznie dla prenumeratorek Bluszczu**

Za cenę niższą od kosztu wydania

to jest **30 kopiejek** w Warszawie; z przesyłką pocztą **35 kopiejek**

W przedmowie osoba, która przekładu dokonała, tak się wyraża:

„Z tą książką w ręku, osoba która się nigdy kroju nie uczyła, może krajać najrozmaitszych fasonów suknie, okrycia, bieliznę, na wzrost i figury różne. — Metoda którą podajemy, jest tak łatwa, dokładna i pewna, że niepodobna nie odnieść z niej korzyści.“

Należność za tę książkę, z prowincyi lub Cesarstwa, wynosząca kopiejek 35, nadesłaną być można mar kami pocztowemi.

Po odebraniu zamówienia, książka *pierwszą pocztą* wysłaną będzie.

Skład główny w księgarni M. Glücksberga, Wydawcy „Bluszczu“.

**TREŚĆ.** Kobieta w Anglii, przez M. I.—Któs, powieść, (dalszy ciąg), przez J. I. Kraszewskiego. — Nowiny paryzkie. — Oddział słowiański paryzkiej biblioteki Muzeum Pedagogicznego. — Romantyzm we Francyi, (dalszy ciąg), przez Edwarda Lubowskiego. — Kronika działalności kobiecej. — Drobne listki.